

# Anna Dymna: Miłość to taka siła, że jeś...

Maria Mazurek  
m.mazurek@gk.pl



● Ich małżeństwo, przerwane przez jego śmierć w 1978 roku, trwało ledwo kilka lat. Ale do dziś **Anna Dymna**, gdy coś robi, zawsze myśli: co by Wiesiu powiedział? I wciąż pracuje na swoje i jego nazwisko

## Porozmawiamy o miłości?

Dobrze się składa, bo mamy za chwilę walentynki. Jedni je lubią, inni nie, ale to jest jednak dobry dzień. Nie tylko dlatego, że ludzie wręczają sobie serca, prezenciki, kwiaty, ale myślą częściej niż w inne dni o tych, którzy miłości potrzebują. Już po raz ósmy moja Fundacja Mimo Wszystko razem z Filharmonią Krakowską czci to święto miłości specjalnym koncertem i aukcją. W tym roku pod hasłem „Kocham, bo kocham...” spotykamy się w niedzielę o godzinie 17 w Filharmonii Krakowskiej, by pomóc naszemu koledze. Te walentynkowe koncerty zawsze poświęcamy artyście, który potrzebuje pomocy. Zdarza się, że nagle ktoś znany, jeszcze niedawno oklaskiwany, podziwiany, znika z życia publicznego. Iniektórzy ludzie nie wiedzą nawet, co się z nim stało. A on właśnie potrzebuje naszej pomocy.

## Rok temu koncert był dla Krzysztofa Globisza. A teraz?

Teraz dla Marka Pacuły, dziennikarza, scenarzysty, reżysera, satyryka, autora tekstów, aktora Piwnicy pod Baranami, naszego Przyjaciela. Marka znam od lat siedemdziesiątych, wydaje mi się, że znam go od zawsze, jak brata. Marek trzy lata temu po upadku przeszedł wylew i jest od tego czasu w śpiączce mózgowej. Wymaga całodobowej opieki. Od jakiegoś czasu jest w domu. Pod opieką żony Basi jest w coraz lepszej kondycji. Ale opieka nad człowiekiem w takim stanie to bardzo odpowiedzialna, stresująca i ciężka praca, również fizyczna... Marka trzeba przecież dźwigać, masować, oklepywać. Basia potrzebuje pomocy. Nie może być sama. To jest ponad siły drobnej, zmęczonej kobiety. Trzeba zatrudnić rehabilitantów, pielęgniarzy. A to kosztuje. Musimy im konkretnie pomóc - nie tylko dobrymi słowami, które oczywiście są bardzo ważne i są początkiem wszystkiego dobrego.

## Wierzy Pani w to, że człowiek w śpiączce może czuć, że jest w domu? Ze odbiera sygnały?

Oczywiście, że tak. Każde dotknięcie, słowo, zapachy, dźwięki, sygnały wysyłane przez bliskich są dla chorego, zagubionego w jakimś „kosmosie” drogowskazami, które wskazują drogi powrotu, dowodami, że są tu potrzebni, że muszą wracać, że ktoś na nich czeka. Profesor Andrzej Szczekliki, wielki lekarz i humanista, w książce „Nie-

śmiertelność” tak pisze o wielu pacjentach, którzy trwali w śpiączce zawieszani pomiędzy życiem a śmiercią: „Jak Odyseusz, odwiedziwszy zaświaty, wrócili do domu. I jak on, choć czuć będą brzemień przeszłości, ruszą znów, by się z losem zmagać, szukać, znajdować, wędrować do końca”. To dla nas najważniejsze słowa Nadziei. Na Marka - Odyseusza, czeka Basia - Penelopa i my wszyscy. Wierzymy, że Marek odnajdzie drogę. Znam wielu wybudzonych ludzi, którzy byli w tej podróży przez miesiące, lata, a potem wrócili, są z nami, chodzą, żyją. Mam nadzieję, że i Marek wróci. Tylko musimy mu pomóc. Wszystkie pieniądze z koncertu - i z biletów, i z aukcji, która się tam odbędzie, pójdą na jego leczenie. Podczas tych koncertów wyzwala się niesamowita energia. Jeśli ktoś ma takie dodatkowe, magiczne pieniądze, to nie może ich lepiej wydać niż na pomoc drugiej osobie. I dopiero wtedy naprawdę przynioszą szczęście.

## Dlaczego Pani to robi? Fundacja, koncerty, Dolina Słońce, pomaganie. Od rana do wieczora.

Dlaczego? Nie wiem. Nie umiem się wy tłumaczyć. Chyba się nie da. Jak się samemu zacznie pomagać to wszystko jest jasne. Fakt, że czasem jest ciężko, ale w tym pomaganiu widzę największy sens życia. To mi daje siłę i napęd jak jakaś cała elektrownia atomowa. Gdy ktoś się dzięki tobie uśmiechnie i powie „dziękuję” to ogarnia człowieka dziwne uczucie, taka lekkość... Jak to wytłumaczyć? Jak po wyrwaniu chorego zęba, po zdaniu ciężkiego egzaminu, po udanej premierze... I myślisz... ależ życie jest piękne! I znów robisz coś, by to poczuć. Tak to się zaczyna. Ja bym bez tego już nie chciała żyć. Budzę się i cieszę, że jest nowy dzień i mam tak wiele do zrobienia. I każdy dzień jest inny i pełen wyzwań: wywiady, spotkania, wyjazdy, nagrania, telefony, pisma, sesja w PWST, egzaminy, spektakle... dlatego czasem jestem tak padnięta. Fundacja uruchomiła kilka cyklicznych wieloletnich projektów. Wie pani, że np. Festiwal Zaczarowanej Piosenki, który na Rynku trwa jeden czerwcowy dzień, zaczynamy przygotowywać najpóźniej we wrześniu? Festiwal kosztuje ponad milion złotych i my musimy te pieniądze zdobyć. Przy zmianach władz, klimatów, nastrojów, przepisów - pracy jest oczywiście więcej... często trzeba wszystko od nowa tłumaczyć. Utrzymujemy dwa ośrodki terapeutyczne dla osób niepełnosprawnych intelektualnie. Trzeba walczyć o środki na ich utrzymanie bez względu na wszystko. I nigdy nie mogę powiedzieć: przepraszam, mam dość. Podopieczni to są moje „dzieci”, a dzieci się nie zostawia. A ilu ludzi zgłasza się do nas po pomoc. Z całej Polski. Często im się wydaje: Dymna robi pstryk i wszystko jest. Jakie pstryk?! To jest ciężka praca kilkudziesięciu ludzi. Ale warto! Naprawdę.

## Jak znajduje Pani na to siły?

Myślę, że ratuje mnie to, że przechodzę z przestrzeni w przestrzeń. W fundacji stycam się z prawdziwymi problemami, cierpieniem, nędzą. Założyliśmy fundację, by pomagać ludziom niepełnosprawnym intelektualnie, ale dzwonią do nas ludzie ze wszystkimi problemami: po wypadkach, walczący z ciężkimi chorobami, z porażeniami mózgowymi, uzależnieniami, z problemami psychicznymi. Nie możemy pomóc wszystkim, to oczywiste. Ale wska-



▶ Anna Dymna i jej pierwszy mąż, Wiesław Dymny. Połowa lat siedemdziesiątych. Ona - młoda aktorka, on - scenarzysta



# i nawet przyjdzie śmierć, uczucie trwa



zujemy im często, gdzie mogą się zwrócić o pomoc, jakie fundacje czy instytucje zajmują się ich problemem. Niestety, nie jestem wróżką i nie mam magicznej różdżki... ależ by to było prosto i pięknie.

**Prowadzi Pani od lat program w TVP2 „Spotkajmy się”. Rozmawia Pani w nim z ludźmi o wszelkich niepełnosprawnościach.**

Tak. To jest chyba najtrudniejsza rzecz, jaką robię. I pewnie również dlatego tak dużo ludzi ze wszystkimi problemami zgłasza się do mojej fundacji.

**Kto znajduje ludzi do programu?**

Ja. Jeżdżę po szpitalach, rozmawiam z lekarzami. Niektórzy sami się zgłaszają, niektórych poznaję gdy sama się rehabilituję w jakimś ośrodku. Czasem przygotowanie do programu trwa wiele dni, często jeżdżę do moich potencjalnych rozmówców, godzinami rozmawiam z nimi przez telefon. Muszę przecież poznać ich sytuację, problem, zdobyć ich zaufanie i przekonać, że te rozmowy są często pomocą, ratunkiem dla innych. To jest bardzo delikatna, trudna sprawa. Gdy z takich nagrań wracam na spektakl do Krakowa i wchodzę na scenę w mój bezpieczny, wirtualny świat, to mogę oddalić się od tych dramatów codzienności i zapomnieć na chwilę o cierpieniu, chorobach. Teraz dopiero w pełni doceniam, jaki genialny zawód uprawiam. Co prawda jest bardzo wyczerpujący i psychicznie, i fizycznie, ale wydaje mi się, że działa na mnie jak najlepszy gabinet psychoterapeutyczny. Mam 64 lata, jestem po wielu wypadkach, operacjach, walczę z kilogramami i wszystkimi oznakami przemijania, i to publicznie... ale wciąż biegam po scenie i niezmiennie jestem na niej szczęśliwa. Tu naprawdę odpoczywam od wszystkiego, nie dzwoni mi komórka, nikt nie prosi mnie o pomoc, nie zadaje trudnych pytań. Największą radość w mojej pracy fundacyjnej daje mi kontakt z moimi podopiecznymi niepełnosprawnymi intelektualnie. Choć przecież są to ludzie, którzy nigdy się nie zmieniają, nie założą rodzin, nie skończą studiów. Moi podopieczni zawsze będą tacy, jacy są. Ale mogą być smutni i bezradni albo uśmiechnięci i na swój sposób szczęśliwi. I choć nie umiem jeszcze tego sformułować, jestem przekonana, że gdy tacy ludzie będą uśmiechnięci, nasz świat będzie lepszy. I że jest to naprawdę bardzo ważne; by czuli się kochani i potrzebni. Bo są prawdziwymi skarbami.

**Widzę, że co chwilę przychodzi do Pani jakiś esemes.**

No tak. Mam tu w mojej komórce taki mały gabinet terapeutyczny. „Pomagam” tak na odległość kilku osobom. Mnie zresztą to też sprawia przyjemność, choć trzeba uważać, bo niektórzy chorzy ludzie są jak taki bluszcz, który może cię opleść i przez przypadek udusić. I zawsze komórkę muszę mieć włączoną, bo są wśród nich ludzie z depresją, gdzie mogą wchodzić w grę próby samobójcze. Już mi się zdarzało kogoś uratować. Ale trzeba umieć to robić, bo - jak powiedziałam - ludzie czasami są jak bluszcz. Oplotą cię i uduszą.

**Więc jak to się robi?**

Trzeba mieć dystans. Mam np. taką dziewczynę, która pisze do mnie po kilka razy dziennie. Wczoraj, niech spojrzę - za-

częła pisać do mnie o 8.04, a skończyła o 22.18. Dzięki temu dystansowi mnie to nie szkodzi, odpisuję, jak mogę - gdy stoję w korku albo na coś czekam. I jeśli ma się ten dystans, to te osoby nic mi nie zabierają, przeciwnie - dają mi wiele.

**Jeszcze w temacie miłości. Za chwilę ukaże się książka o Wiesławie Dymnym. Pani mówi o nim: pierwsza, wielka miłość mojego życia.**

To będzie książka biograficzna, której ja bym nie mogła napisać, bo Wiesia znałam tylko przez ostatnich osiem lat jego życia. I ja o Wiesiu wiem tylko tyle, ile on sam mi mówił. Bo ja się nigdy o nic nie dopytywałam - ani jego, ani innych ludzi. A ludzie mówią przecież różne rzeczy. Ja się w ogóle w to nie wtrącam. Książkę napisała Monika Wąs. Pisała kiedyś o nim pracę magisterską, rozmawiała o Dymnym z wieloma ludźmi, zbierała dokumenty, fakty, przegadała z nią dziesiątki godzin. To jest bardzo precyzyjna książka, ale oczywiście ona ukazuje Wiesia przede wszystkim takiego, jakim został w pamięci innych. Ale ja z tym nie polemizuję, niczego nie chcę prostować. Wiesiu mnie tego nauczył. Mówił: Ania, ludzie i tak będą o tobie mówić, co chcą.

**Ja bym chciała wiedzieć, jaki on został w pamięci Pani, nie innych.**

Wie pani, bardzo trudno mi o Wiesiu mówić. Bo jak mówić o miłości, jeszcze mówić o niej do mediów? Gdy chcesz to ubrać w słowa, to one są za duże, za małe, pompakcyjne. A w dodatku zauważyłam, że w naszej rzeczywistości, kiedy mówisz o miłości, o wartościach i mówisz to szczerze, to natychmiast to ludzi drażni, wywołuje agresję.

**Ale innym, być może, jest to potrzebne?**

Dlatego ja jednak o Wiesiu mówię, lecz mam z tym osobisty problem. Czasami tak myślę, że moje spotkanie z Dymnym - z moją wielką, pierwszą miłością - nigdy się nie skończyło. Wciąż trwa, Oczywiście, zaraz ludzie stwierdzą: co za głupia, egzaltowana aktorka. A to jest prawda, tylko ci ludzie widocznie nie mieli szansy przeżyć czegoś podobnego i tego co czuję nie mogą zrozumieć.

**Wasza znajomość zaczęła się filmowo: Pani uderzyła go w twarz, on oddał i wyszedł. Potem czekał na Panią z kwiatami.**

Gdybym miała to pani opowiadać, potrzebowałybyśmy dwóch tygodni. Spotkałam Wiesia, kiedy byłam bardzo młodą, początkującą aktorką. Przy jego boku wchodziłam w dorosły świat, w niebezpieczny zawód. Choć, co śmieszne, my byliśmy w bardzo podobnych wartościach wychowani. I kiedy trafiłam spod skrzydeł rodziców pod skrzydła Dymnego, to jakby nikt mnie z niczego nie wyrwał. Oczywiście, on był 15 lat ode mnie starszy i był kontrowersyjnym artystą w tamtych dziwnych czasach. Ale nauczył mnie takich rzeczy, które do tej pory są dla mnie kręgosłupem. I jak coś robię, to zawsze myślę o tym, co by mi Wiesiek powiedział. I to jest taka wartość dla mnie, taki skarb na całe życie.

**Jaki był?**

Przed wszystkim - był niezwykłym człowiekiem. Wiesiu to była uczciwość i prawda. On reagował na wszystko prosto, niczego nie kalkulował, nie manipulował.



**„Dymny. Życie z diabłami i z aniołami”.**

17 lutego odbędzie się premiera książki Moniki Wąs o Wiesławie Dymnym. Wydawnictwo Znak, cena 49,90.

**„Kocham, bo kocham”**

Koncert charytatywny i aukcja na rzecz Marka Pacuły odbędzie się w najbliższą niedzielę w Filharmonii Krakowskiej, o godz. 17. Wystąpi m.in. Jerzy Trela, Motion Trio, a przedmioty na aukcję przekazał m.in. Andrzej Duda, Beata Szydło, Jerzy Stuhr. Bilety-cegiełki w kasach filharmonii.

Może dlatego też tak kocham moich podopiecznych, którzy - oczywiście z innego powodu - działają tak samo jak Wiesiu: prosto, odruchami. Oni mózgiem nie zniszczą żadnych uczuć. Wiesiek również taki był, a przy tym był wybitnie inteligentny, czytany, utalentowany we wszystkich dziedzinach, niezłomny. I żył w przedziwnym świecie zniewolenia. Taki dziki ptak w klatce. Ciężko mu było. Oczywiście, że sobie z tym nie radził, bo był niezwykle wrażliwy. Więc oskorupał się, najeżał. W młodości pozostał jako agresywny, nieobliczalny, dziwny człowiek. Niektórzy się go bali. Ale w środku, pod tym pancierzem, był schowany wrażliwy, delikatny, subtelny chłopiec i artysta. Takich ludzi jest mało, coraz mniej...

**Czy w dzisiejszej rzeczywistości byłby szczęśliwszy?**

Czasami się zastanawiam, jaki by Wiesiu teraz był, w czasach tej wolności? Czy szczęśliwszy? Może tak. Może byłby największym w Polsce scenarzystą, a może największym malarzem? On był utalentowany w wielu kierunkach, tylko że to były takie czasy, że nikt - i przez to on sam, tego nie cenił. Wiedział, że to na nic. Ale przy tym miał cały czas radość w tworzeniu tych wszystkich rzeczy. Nigdy nie siedział beczynnie. Jakby mógł, to i przez sen by coś robił.

Może dlatego czasami pił - żeby wreszcie zresetować organizm. Bo jeśli nie pił, to cały czas to coś rzeźbił, to rysował, szył, konstruował, fotografował. Miał tysiące swoich zeszytów - niestety, większość spaliła się w pożarze kilka miesięcy przed jego śmiercią. Ale cieszył się tym jak dziecko. Gdy stykał się z jakimś idiotyzmem, niesprawiedliwością, niezrozumiałymi zakazami - to od razu krzyczał, uderzał, oddawał, ale nic w sobie złego nie nosił. Nigdy nie mówił źle o ludziach - choć byli tacy ludzie, o których nie mówił w ogóle.

**Jak Pani poradziła sobie z jego śmiercią?**

Musiałam sobie poradzić. Kiedy Dymny umarł, miałam 27 lat. W chwili gdy byłam całkowicie załamana, kiedy było mi najtrudniej, przypomniałam sobie naszą rozmowę: umówiliśmy się, że będziemy na to nazwisko pracować, bez względu na to, kto odepdzie pierwszy. Dotarło do mnie, że mam jakieś zobowiązania i pomyślałam sobie: kobieto, musisz żyć; i musisz żyć tak, żeby Dymny cię kiedyś nie skopał, jak się tam spotkacie. Oczywiście, mówię to półżartem, ale wierzę, że jeśli pojawia się tu, na ziemi, to naszym największym obowiązkiem jest żyć i być szczęśliwym. Kiedyś z Dymnym o tym gadaliśmy. Więc żyję, wciąż pracuję na to nazwisko „Dymny” i bardzo się staram. Wie pani, że trudno mi się o tym mówi. Bo przecież ja jestem teraz z innym mężczyzną, jemu może być przykro.

**A jest?**

On przecież wie o tym, że gdyby nie Dymny, to ja byłabym prawdopodobnie kimś innym. A kocha mnie również za to, jaka jestem, prawda?

Zrozumiałam, co napisał Szekspir w jednym sonecie: „Miłość silniejsza jest od śmierci”. Miłość jest taką siłą, że nawet, jeśli przychodzi śmierć i ktoś na chwilę odchodzi - bo mam nadzieję, że to jest tylko chwila - to uczucie wciąż trwa, może stać się siłą, i z tej miłości czepie się całe życie. Ja coś takiego przeżyłam. I jak mam to ludziom wytłumaczyć? ●

©©